

BLANCA MIOSI

WALDEK Chłopiec, który przebaczył nazistom

Jestem nieskończenie wdzięczna Henrykowi za to,
że dzielił ze mną życie; mojej matce, za natchnienie
i mojemu drogiemu przyjacielowi Fernandowi Hidalgowi,
gdyż bez jego bezcennej pomocy ta książka
nigdy by nie ujrzała światła dziennego.

Tytuł oryginału: La Búsqueda, el niño que se enfrentó a los nazis

Original work copyright ©2014 by Blanca Miosi

Przekład: Piotr Jarco

Wybuch II wojny światowej na zawsze zmienia życie milionów Polaków – w tym także życie jedenastoletniego Waldka Grodka, który wraz z rówieśnikami przystępuje do ruchu oporu. Podczas potajemnych harcerskich ćwiczeń zostaje aresztowany i po miesiącach tortur na Pawiaku trafia do obozu Mauthausen-Gusen, a następnie do Auschwitz-Birkenau, gdzie doświadcza wieloletniego nazistowskiego okrucieństwa. Zostaje uwolniony przez aliantów i chcąc okazać im wdzięczność, zaciąga się do amerykańskiej armii pomocniczej. Po odbyciu krótkiej służby osiemnastoletni Waldek powraca do domu, pragnąc odzyskać utracone przed laty życie.

Bohaterowi nie udaje się jednak odciąć od przeszłości i wrócić do porządku dziennego. Rozczarowany realiami Polski pod rządami komunistów, postanawia wyjechać z kraju. Waldek wyrusza w świat na poszukiwanie urzeczywistnienia utopijnej wizji wolności, utożsamianej przez niego przede wszystkim z Ameryką Południową. Rozpoczyna się jego wieloletnia ucieczka przed zniewoleniem – podróż, podczas której bohater poznaje inne formy ucisku.

Przemierzając amerykański kontynent, Waldek nabywa bogate doświadczenie – doznaje biedy i bogactwa, przeżywa liczne perypetie miłosne będące dla niego źródłem zarówno radości, jak i smutku, a także konfrontuje swoje dotychczasowe wyobrażenia o świecie z rzeczywistością, co nie raz skutkuje bolesnym rozczarowaniem.

Historia ta, oparta na prawdziwych wydarzeniach z życia tytułowego bohatera, skłania do refleksji nad granicami ludzkiego fanatyzmu, pokazując różne jego uosobienia – nazistowskie obozy koncentracyjne, reżim komunistyczny, dyktaturę Ameryki Południowej, niemieckich szpiegów czy Mossad.

Doświadczenia życiowe Waldka (a więc przede wszystkim ciągła walka o przetrwanie, ból, strach oraz zawód) stawiają go przed nie lada dylematem. W kluczowym momencie powieści mężczyzna musi dokonać ostatecznego rozrachunku ze swoimi prześladowcami z przeszłości. Czy zdoła zapomnieć o wyrządzonych mu krzywdach i osiągnąć najwyższą formę dojrzałości oraz odwagi, którą jest zdolność do przebaczenia?

Preambuła

Wrzesień 2001 – Genewa, Szwajcaria

Wyjąłem z kieszeni wizytówkę i spojrzałem na adres: Route des Morillons numer 17. Obszedłem czarne metalowe ogrodzenie, które otaczało ogród i dotarłem do wejścia. Ścieżka zaprowadziła mnie przez trawnik przed otwierające się automatycznie szklane drzwi.

Zawahałem się przez chwilę; wejście do środka oznaczało powrót do wydarzeń, które na zawsze chciałem wymazać z pamięci, jednak podjąłem pewne postanowienie i zdecydowałem się go dotrzymać. Przekroczyłem próg i natychmiast znalazłem się w eleganckim przestronnym pomieszczeniu. W lewym rogu za dużym biurkiem siedziała młoda blondynka. Spojrzała w moją stronę i obdarowała mnie grymasem przypominającym uśmiech. Podeszedłem do niej.

– Dzień dobry. Czy to tutaj rozpatruje się wnioski o odszkodowanie, które Niemcy zaoferowały byłym więźniom nazistowskich obozów koncentracyjnych? – spytałem po niemiecku.

– Tak, zgadza się – odpowiedziała krótko dziewczyna.

– Przynoszę dokumenty poświadczające, że byłem w Auschwitz i Mauthausen.

– Pracujemy od ósmej rano do piątej po południu, proszę pana. Aby złożyć dokumenty, będzie musiał pan przyjść w tych godzinach. Jest pan Żydem, prawda?

– Jestem katolikiem – odpowiedziałem, nieco zaskoczony tym pytaniem. Przeszło mi przez myśl, że jeśli nie jestem Żydem, to mnie nie obsłużą.

– Jeśli pan sobie życzy, mogę umówić pana na rozmowę z osobą odpowiedzialną za rozpatrywanie wniosków, ale byłaby ona możliwa najwcześniej dopiero jutro – ciągnęła młoda kobieta. Odniosłem wrażenie, że śpieszno jej było do zakończenia rozmowy.

– Dziękuję, to nie będzie konieczne – oznajmiłem. – Postaram się wrócić jutro w godzinach urzędowania.

– Mogę panu jeszcze w czymś pomóc? – dodała na pożegnanie.

Gdy wyszedłem z budynku, wcale nie byłem pewien, czy mam ochotę tu wracać. Chłodne przyjęcie sprawiło, że poczułem się nieswojo. Wiedziałem, że ta kobieta była tylko pracownicą wykonującą swoje obowiązki, a to, że byłem osobą, która przeżyła obozy, nie miało dla niej specjalnego znaczenia. Spodziewałem się jednak odrobinę cieplejszego traktowania. Jeśli odszkodowania miały być formą zadośćuczynienia, to sposób, w jaki je przyznawano, przypominał wręczenie prezentu zawiniętego w gazetę. I dlaczego założono od razu, że jestem Żydem? Wielu ludzi mylnie sądzi, że tylko Żydzi cierpieli w nazistowskich obozach. W tym urzędzie powinni zdawać sobie jednak sprawę z istnienia tysiąca osób więzionych tam z innych powodów.

Przeszedłem przez ulicę, usiadłem na ławce i spojrzałem na dwa prawie identyczne budynki stojące na posesji, którą właśnie opuściłem. W jednym z nich mieściło się Biuro ONZ ds. Repatriacji i Uchodźców. Bure mury budynku zdawały się wprost sugerować kryjące się w jego przepastnych archiwach dramaty ludzkie. Zieleń starannie skoszonego trawnika i kolorowy ogród kontrastowały z ponurym nastrojem towarzyszącym mi podczas tej wizyty. Jesienny popołudniowy wiatr przyniósł charakterystyczny zapach wilgotnej trawy, ten który tak dobrze znałem z dzieciństwa. Momentalnie przeniosłem się wspomnieniami do Dąbrowy, do naszego wiejskiego domu w Polsce. Długo opierałem się podobnym retrospekcjom, jednak to wspomnienie było wyjątkowo silne. Moje myśli poszybowały w stronę Warszawy sprzed lat, czasu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem i nie przeczuwałem, co takiego szykuje dla mnie los. Wciągnąłem głęboko do płuc zapach trawy i moją głowę wypełniły obrazy z przeszłości, które, jak dotąd mi się wydawało, pogrzebałem raz na zawsze...

Rozdział 1

Warszawa, Polska – 1938

Zapamiętałem mamę jako młodą kobietę z wiecznie śmiejącymi się oczami. Mówili, że jestem do niej bardzo podobny – bardziej niż cztery lata młodsza ode mnie Krystyna. Inni z kolei twierdzili, że to mój ojciec doczekał się swojego żywego portretu. Pani Zofia – bo tak właśnie wszyscy się do niej zwracali – była wysoką brunetką o oczach błękitnych jak niebo. Tata natomiast był blondynem, podobnie jak moja siostra, a jego włosy miały kolor dojrzałej pszenicy. Do dzisiaj uśmiecham się na wspomnienie o figlach, które płaćtałem młodszej siostrze. Zasługiwała na nie. Zawsze sprawiała wrażenie obrażonej i lubiła zrzucać na mnie winę. Oboje byliśmy zgodni tylko w jednej kwestii: że nasza psia niania – stara suka Aza, również była członkiem tej rodziny.

W tamtych czasach bycie harcerzem postrzegano się za powód do dumy, zwłaszcza jeśli na rękawie miało się mnóstwo sprawności, takich jak kucharz, stolarz, wędkarz i tę najbardziej cenioną – odznakę survivalową. Aby ją zdobyć, trzeba było spędzić trzy dni w lesie, mając do dyspozycji jedynie plecak z odrobiną soli, nożem i manierką z wodą. Miałem prawie jedenaście lat, kiedy przyszła moja kolej na tę próbę. Ruszyłem do lasu, przekonany, że zdam test bez problemu. Kiedy jednak kilkugodzinna wędrówka zamieniła się w bezcelowe błądzenie w kółko, a wokół mnie nastał zmrok, poddałem się. Skierowałem się do leśniczówki, w której mieszkali przyjaciele mojej rodziny. Tam spędziłem trzy dni i trzy noce. Zdobyłem harcerską odznakę survivalową i choć gryzły mnie wyrzuty sumienia, to tłumaczyłem sobie, że przecież znalazłem genialny sposób na przetrwanie. Gdy zadowolona mama prezentowała przyjaciółkom zdobyte przeze mnie odznaczenia, również czułem się winny, ale tylko trochę. Pamiętam też, że wtedy nasz instruktor kładł duży nacisk na naukę technik pierwszej pomocy. Nauczyłem się między innymi jak usztywniać złamane kości, robić zastrzyki, czy też bandażować rany i mierzyć ciśnienie krwi. Gdy myślę o tym z perspektywy późniejszych wydarzeń, wiem, że te „taktyki” – jak zwykł je nazywać instruktor – miały swoje znaczenie, którego wtedy jeszcze nie dostrzegaliśmy.

Dwadzieścia lat po tym, jak ucichły ostatnie odgłosy bitew I wojny światowej, Polska przeżywała dość spokojny czas, w przeciwieństwie do wstrząsanych narodowym socjalizmem sąsiadujących z nią Niemiec. Dla chłopca w moim wieku te sprawy nie miały znaczenia, chociaż czasami podczas rozmów z ojcem wyczuwałem w jego głosie nutę niepokoju.

Pewnego dnia zwróciłem uwagę na to, że mój wujek Krakus jest bardzo poruszony. Mówił, że jakiś Adolf Hitler miał zamiar połączyć Niemcy z Prusami, regionem znajdującym się na północy Polski.

– Nie odważą się zaatakować Gdańska – zawyrokował tata, nie okazując zbytniego zainteresowania.

– Niemcy przeżywają wiele problemów gospodarczych, a Polska stoi na przeszkodzie planom Hitlera. To byłby dobry pretekst do rozpoczęcia inwazji – stwierdził mój wujek.

– Niech się zajmą swoimi sprawami! Nie chcemy tu kolejnej wojny. Mamy przecież pakt o nieagresji z Niemcami.

– I uważasz, że oni go uszanują? Nasze wojska lądowe i lotnictwo organizują manewry... – ciągnął wujek z wyraźnym niepokojem w głosie.

– Martwisz się bez powodu, to tylko rutynowe ćwiczenia – stwierdził tata, bagatelizując sprawę.

– Stan... coś tu śmierdzi. W niektórych dzielnicach Warszawy zaczynają budować schrony przeciwlotnicze.

– Tato, co to są schrony przeciwlotnicze? – odważyłem się przerwać rozmowę.

– Waldek – odparł tata, który dopiero teraz zorientował się, że wszystko słyszę – to są miejsca, w których ludzie w czasie wojny chronią się przed atakami samolotów.

Wyobraziłem sobie wtedy, że schron to taka leśniczówka, miejsce, gdzie można śpiewać i spędzać miło czas z przyjaciółmi. Zapomniałem o rozmowie i wyszedłem pobawić się z Azą.

Z czasem uświadomiłem sobie, że mój ojciec wiedział zdecydowanie więcej, niż mówił. Więcej niż wujek Krakus i wielu z nas. Był dyrektorem warszawskich wodociągów, pracował dla rządu i miał dostęp do informacji niedostępnych dla innych. Zawsze jednak był powściągliwy i takiego właśnie go zapamiętałem.

Rozdział 2

Piątek, 1 września 1939

Dąbrówka, Polska

Wakacje i weekendy zazwyczaj spędzaliśmy w domu letniskowym w Dąbrówce, około sześciu kilometrów od Warszawy. Była to przytulna wiejska chata, otoczona sadem owocowym i bujną roślinnością. Wciąż pamiętam dojrzałe, zalegające na ziemi wokół drzew jabłka, których nie miał kto zebrać, gdy nas nie było dłużej niż

tydzień. Mieliśmy też truskawki, brzoskwinie, wiśnie i jeżyny. Tata grabił liście i gromadził je na kupkach, które wszędzie rozwiewał wiatr. Mama natomiast twierdziła, że to jej dzień wolny i podczas gdy my zajmowaliśmy się ogrodem, ona bujała się w hamaku. Tamtego piątkowego poranka razem z ojcem oddawałem się rutynowym obowiązkom, a moja siostra błąkała się Bóg wie gdzie; zawsze gdzieś znikwała, gdy potrzebna była pomoc. Byłem pochłonięty pracą, gdy nagle z oddali dobiegł dźwięk przypominający brzęczenie pszczoł – takie samo jak wtedy, gdy Krystyna została zaatakowana przez rój, po tym, gdy wpadła na genialny pomysł rzucania kamieniami w ul. Brzęk stawał się coraz bardziej wyraźny, więc przerwałem pracę i spojrzałem w niebo, szukając jego źródła. Widok był przerażający: setki samolotów lecących w trójkątnym szyku niemającym końca. Było ich tyle, że przesłaniały całe niebo i robiły piekielny hałas. Zamarłem osłupiały. Tata, który pracował na drugim końcu ogrodu, również patrzył w górę. Na jego twarzy widziałem wypisane przerażenie. Byłem pewien, że te samoloty nie zwiastują niczego dobrego.

Mama, która z początku nie mogła wydusić ani słowa, teraz zaczęła nas wołać, starając się przekrzyczeć huk silników.

– O mój Boże! To Niemcy! Atakują nas! Waldek, Krystyna! O mój Boże, to niemieckie samoloty!

– Nie, to ćwiczenia polskich samolotów – krzyczał tata, próbując ją uspokoić.

– Wiem, jak wyglądają polskie samoloty. Te są niemieckie! Mój Boże, pomóż nam!

– Spójrz, tato! – wykrzyknąłem, podnosząc przedmiot, który spadł na trawę. Był tak gorący, że od razu wypuściłem go z ręki.

– To odłamki pocisków przeciwlotniczych – odparł tata. – Wojsko nas broni.

– Niemcy atakują! – wciąż krzyczała spanikowana mama – Krystyna! Gdzie jesteś?

– Zofia, uspokój się! Proszę cię, nie strasz dzieci – powiedział tata, przytulając mamę. Jego słowa zagłuszał łoskot silników.

Aza wyła przeraźliwie, a jej skowyt mieszał się z ujadaniem okolicznych psów i zawodzeniem mojej siostry, która wyrosła nagle jak spod ziemi i szlochając ze strachu, uczepliła się mamy.

Samoloty leciały w kierunku Warszawy. Po chwili usłyszeliśmy odległe wybuchy, a zaraz po nich na horyzoncie pojawiły się gęste słupy czarnego dymu. Nie mieliśmy wątpliwości, że właśnie na naszych oczach rozpoczyna się wojna, a jak mawiał tata, w Europie wszystkie wojny zaczynają się w Polsce. To był początek II wojny światowej. Niemcy zaatakowały nas bez ostrzeżenia.

Tata, mimo usilnych próśb mamy, zaczął pospiesznie zbierać się do wyjazdu; twierdził, że musi stawić się do pracy. Zajmował ważne stanowisko dyrektora warszawskich wodociągów. Wtedy tego nie pojmowałem, ale teraz rozumiem, że

postąpił słusznie. Usiadł za kierownicą swojego citroena i ruszył w stronę miasta. Kiedy później przyjechał po niego żołnierz na motocyklu, powiedzieliśmy mu, że ojciec jest już w drodze do ratusza.

Byłem wtedy dwunastoletnim chłopcem. Zawsze lubiłem dodawać sobie lat, a także brać na siebie różne obowiązki. To sprawiało, że czułem się ważny. Tego dnia jednak, jak nigdy wcześniej, poczułem niepokój związany z tym, że jestem najstarszy z rodzeństwa. Próbowałem pocieszyć mamę, która wciąż płakała. Moja siostra nie pozostawała w tyle, choć akurat u niej szlochanie było na porządku dziennym. Tym razem jednak miała powód. Ja też czułem ścisk w gardle, ale nie mogłem jeszcze wiedzieć, co nas czekało; byłem za młody, by móc wyobrazić sobie horror wojny. Chciałem zobaczyć, co się dzieje w Warszawie i chociaż tata wyraźnie poprosił nas, żebyśmy nie ruszali się z Dąbrówki, zacząłem poważnie myśleć o wyjeździe do miasta.

Przez kolejne dwa dni zobaczyliśmy jeszcze kilka – choć już mniej licznych – grup samolotów, a z oddali nieprzerwanie dobiegał hałas wybuchów. Byłem przekonany, że nie możemy przebywać dłużej w izolacji i starałem się przekonać mamę do powrotu do Warszawy. Opowiedziałem jej o wielkiej wojnie, w której, jak nas uczono w szkole, najkrwawsze bitwy miały miejsce w okopach, na wsi, właśnie tu, gdzie byliśmy. W końcu powiedziałem jej, że dzięki temu będziemy bliżej taty i myślę, że dopiero to ją przekonało.

Zapakowaliśmy trochę rzeczy i ruszyliśmy do miasta. To była zbyt długa droga, aby pokonać ją pieszo, zwłaszcza dla Krystyny. Na szczęście spotkaliśmy rolnika, który jechał akurat wozem konnym w tym samym kierunku. Po drodze zamieniliśmy z nim ledwo kilka słów. Jestem pewien, że wszystkich dręczyła ta sama myśl i żadne z nas nie chciało jej werbalizować. W pobliżu stolicy droga była poprzecinana lejami po bombach i dalsza podróż wozem stała się niemożliwa. Musieliśmy zsiąść i dalej iść na piechotę, aż do naszego domu. Nigdy nie dowiedziałem się, po co ten rolnik jechał do Warszawy. Kto wie, dokąd zmierzał? Przez te wszystkie lata ani razu go nie wspominałem, ani nie myślałem o jego losie – aż do dzisiaj.

Nasz dom znajdował się blisko Wisły między dwoma mostami i sąsiedował z elektrownią, która zasilala miasto. Były to miejsca strategiczne i dlatego mogły stać się celem bombardowań. Przebywając tutaj, narażaliśmy się na duże ryzyko. Dokąd jednak mieliśmy pójść? Nie posłuchaliśmy ojca i wpakowaliśmy się w niezłe tarapaty. Teraz musieliśmy poszukać schronu i znaleźliśmy go przy ulicy Lipowej, w siedzibie miejskiej centrali wodociągowej, gdzie pracował tata. Bałem się, że jeśli nas tam zobaczy, to ukarze mnie za to, że go nie posłuchaliśmy. Nie wiem jak, ale udało mi się przekonać mamę, byśmy poszli do innego, większego schronu położonego dalej od mostów. Wtedy właśnie zacząłem rozumieć, co to są punkty strategiczne, ponieważ ludzie nie mówili o niczym innym. Dotarliśmy do nowej kryjówki, ale ledwie weszliśmy do środka, musieliśmy zawrócić do poprzedniego miejsca, ponieważ dosłownie chwilę wcześniej bomba uszkodziła gazociąg i zabiła wiele osób. Podobno było około dwustu ofiar. Mama powtarzała, że to prawdziwy cud, że wyszliśmy stamtąd bez szwanku. Moim zdaniem jednak uratowało nas tylko

to, że z powodu tłoku w schronie staliśmy bardzo blisko wyjścia. Gdyby Bóg potrafił czynić cuda, w tamte dni miałby dużo pracy. Nie było jednak sensu spierać się z mamą, zwłaszcza w tych okolicznościach.

Cały czas czekałem na spotkanie z tatą i martwiłem się, że będzie się złościł. On jednak, gdy wreszcie nas zobaczył, nie powiedział ani słowa, a jedynie mocno przytulił do siebie każdego z osobna. Poczułem wielką ulgę. Nie został z nami w schronie, ale przychodził do nas często, choć zawsze w pośpiechu. Domyśliłem się, że bierze udział w obronie Warszawy. Nigdy nie pytałem go, co wtedy robił. On również o tym nie wspominał. Mogłem jedynie przypuszczać, że jako inżynier odpowiedzialny za warszawską kanalizację, pełnił ważną rolę przy naprawie zniszczeń spowodowanych bombardowaniami i dbał o działanie mediów. Znał wszystkie zakamarki rozległej sieci podziemnych kanałów. W czasie okupacji były to jedyne miejsca, w które nie odważyła się zapuścić armia niemiecka. Pamiętam, że kiedy tata nas odwiedzał, był zawsze ubrudzony błotem od stóp do głów.

Do schronów nie wpuszczano żadnych zwierząt domowych, nawet kanarka. Wyjaśniono mi, że chodziło o przetrwanie. Udałem wtedy, że rozumiem to słowo i przytaknałem, myśląc o odznace, którą zdobyłem w harcerstwie. Aza została w domu, a my nie mieliśmy możliwości, by o nią zadbać. Pomiędzy kolejnymi nalotami mogliśmy opuszczać schron, jednak musieliśmy trzymać się blisko wejścia na wypadek kolejnego bombardowania. Po upływie tygodnia do mamy przyszło kilku żołnierzy z powodu Azy, która wyła bez przerwy dzień i noc. Cierpiała bez wody i jedzenia, samotna pośród ciągłego ryku bomb. Błagałem, aby pozwolili mi ją zabrać do schronu, ale w tej kwestii byli nieugięci.

– Żadnych zwierząt w schronach – powiedział stanowczo żołnierz – ledwo starcza miejsca dla ludzi.

Powiedzieli mamie, że powinna pójść z nimi i otworzyć drzwi do mieszkania, aby mogli zakończyć cierpienie psa. W trakcie jednej z krótkich przerw pomiędzy bombardowaniami poszliśmy więc do domu, który znajdował się blisko schronu. Właśnie wtedy przyszło mi zmierzyć się z jednym z najgorszych momentów w moim życiu. Aza rzuciła się na mnie z radości, a potem usiadła na ziemi, merdając radośnie ogonem i patrząc mi z ufnością w oczy. Żołnierz zakończył jej życie jednym strzałem. Do dzisiaj pamiętam wyraźnie bezbronne spojrzenie mojej drogiej Azy. To były pierwsze łzy, które uroniłem podczas tej cholernej wojny. Nawet teraz, gdy to wspominam, czuję ukłucie w sercu i ogarnia mnie poczucie winy. Wtedy po raz pierwszy naprawdę dotarło do mnie, że mogę również stracić moich bliskich.

Po bombardowaniach zapadała cisza. Pewnego razu, gdy otwarto drzwi, aby wpuścić trochę świeżego powietrza do bunkra, skorzystałem z okazji i wymknąłem się niezauważony na zewnątrz. Miałem zamiar pójść do domu wuja Krakusa i zobaczyć kuzynów, zwłaszcza Bolka. Ruszyłem ulicą Dobrą, a potem Karową, na której znajdowała się moja szkoła. Po drodze widziałem zniszczenia spowodowane przez bomby. Wiele budynków zostało zrujnowanych i wszędzie było pełno pożarów, których nikt już nawet nie próbował gasić. Szyny tramwajowe unosiły się

nad ziemią jak kręcone metalowe schody. W chodniku pełno było ogromnych dziur częściowo pokrytych gruzem i wypełnionych wodą spływającą z ulic. Ucieszyłem się na widok mojej szkoły, która wciąż stała nietknięta.

Zobaczyłem mężczyzn plądrujących zbombardowane sklepy. Z pewnością szukali jedzenia, które mogliby zanieść do schronów. Widziałem również robotników wykorzystujących przerwy pomiędzy nalotami, aby naprawić uszkodzone linie energetyczne i rurociągi. Po ślimaku wdrapałem się na górną część ulicy Karowej, bo schody dla pieszych były zupełnie zniszczone. Na Krakowskim Przedmieściu przyspieszyłem kroku i dotarłem na Plac Zamkowy z wciąż jeszcze nietkniętą kolumną króla Zygmunta. W tym rejonie było trochę mniej zniszczeń. Nie zatrzymując się, pobiegłem na Starówkę, na ogromny plac otoczony zabytkowymi budynkami, gdzie mieszkało moje wujostwo. Ponieważ ich dom znajdował się z dala od wszelkich punktów strategicznych, założyłem, że nigdzie się nie wyprowadzili. Wbiegłem po schodach na czwarte piętro i dysząc z wysiłku zapukałem do drzwi. Wuj Krakus nie pozwolił mi nawet odsapnąć. Zamiast podziwu dla mojego wyczynu, otrzymałem od niego taką burę, że uciekłem w pośpiechu, mimo błagań ciotki, abym został. Jej krzyk zlewał się z dźwiękiem syren obwieszczających kolejne bombardowanie. Byłem tak przestraszony, że, potykając się na ostatnich stopniach, wybiegłem z budynku, nie oglądając się za siebie.

Ulice były zupełnie puste. Nawet w trakcie mojej próby przetrwania w lesie nie czułem tak dziwnego osamotnienia. Syreny umilkły i zapadła grobowa cisza zapowiadająca burzę. Po kilku sekundach na miasto zaczęły spadać bomby i poczułem, jak pod moimi stopami trzęsie się ziemia. Straciłem równowagę i upadłem w tym samym momencie, gdy niecałe dwadzieścia metrów ode mnie eksplodował ładunek. Byłem oszołomiony, ale nie straciłem przytomności. Mimo ogłuszającego ryku bomb i trzęsącej się ziemi, udało mi się wstać. Nagle, sparaliżowany ze strachu, zobaczyłem mężczyznę i kobietę wgniecionych jak stemple w ścianę pobliskiego budynku. Nie wyglądali już jak istoty ludzkie. Przypominali bardziej rozprute lalki ociekające krwią spływającą strumieniami na ulicę. Ten widok wzbudził we mnie grozę. I obrzydzenie.

Gdybym nie upadł, wyglądałbym tak samo jak oni. Wtedy przypomniałem sobie, że w schronie radzono, aby podczas bombardowania położyć się na ziemi, gdyż bomby wytwarzały silne ciśnienie powietrza, które mogło porwać ciało ludzkie i rozbić je o dowolną przeszkodę. Jak automat ruszyłem dalej. Czołgałem się pomiędzy walającym się gruzem tak szybko, jak tylko mogłem. Zobaczyłem kilku żołnierzy w okopach, którzy broniąc się przed samolotami, strzelali do nich z działek przeciwlotniczych. Mimo dymu i unoszącego się kurzu, widziałem ich hełmy, ale nie słyszałem ani ich krzyków, ani ciągłych odgłosów wybuchów. Nagle uświadomiłem sobie, że od momentu pierwszej eksplozji nic nie słyszałem. Byłem całkowicie głuchy. Usiadłem w kucki i oparłem się o ścianę. Widziałem jedynie twarze spoconych żołnierzy, wpatrujących się we mnie wytrzeszczonymi oczami i poruszającymi ustami. Nie wiem skąd wzięłem tyle siły, aby się wówczas nie rozplakać ani nie zemdleć. Nagle rozległ się przeraźliwy gwizd i wreszcie wrócił mi

słuch. Z początku dźwięki wydawały mi się zupełnie odległe, jak gdybym był zamknięty w mydlanej bańce.

– Na ziemię, chłopcze! Co tu robisz? Padnij! Bomba! – wrzasnął jeden z żołnierzy. Niedaleko rozbrzmiała kolejna eksplozja.

– Dlaczego nie jesteś w schronie?! – krzyczał do mnie kolejny mężczyzna.

Nie umiałem wydusić z siebie ani słowa. Byłem sparaliżowany ze strachu, a wszystko wokół wydawało mi się zupełnie nierealne. Nie potrafię powiedzieć jak długo trwał ten koszmar, ale pamiętam, że nagle odzyskałem panowanie nad sobą i rozpaczliwie rzuciłem się biegiem w kierunku schronu. Wiedziałem, że powrót do niego był moją jedyną nadzieją na przeżycie.

Mama pewnie już zauważyła moje zniknięcie, a jeśli nie, to moja siostra z pewnością jej o tym powiedziała. W stosunku do mnie zawsze zachowywała się jak prokurator. Biegłem przez zgliszcza, kurcząc się pod nadprożami częściowo zburzonych budynków, by ochronić się przed kawałkami gruzu i szkła, które w trakcie bombardowania odrywały się od budynków i spadały na wszystkie strony jak pociski. To czołgałem się, to znowu szedłem na czworakach, a wokół mnie wszystko drżało. Z powodu kurzu i dymu wydostającego się z ruin trudno było mi zorientować się, gdzie jestem. Nic nie wyglądało tak samo. Ledwo poznałem ulicę Lipową.

Do schronu dotarłem tuż przed kolejną syreną ogłaszającą zakończenie nalotu. Dysząc ze zmęczenia, czekałem aż otworzą się drzwi i będę mógł niepostrzeżenie wśliznąć się do środka, ale wszyscy zdążyli już zauważyć moją nieobecność. Awanturę, którą rozpętała moja mama, zapamiętam na zawsze. Musieli odciągnąć ją ode mnie, bo łajała mnie tak mocno, że o mały włos nie urwała mi głowy. Jeden z mężczyzn wymierzył jej policzek i wtedy dopiero oprzytomniała. Usiadła na ławce i siedziała nieruchomo, patrząc przed siebie i bezgłośnie łkając.

– To tylko dziecko... ma zaledwie dwanaście lat... – mamrotała.

Wiedziałem, że jestem winny, więc siedziałem cicho.

– Bałam się o ciebie, ale to nie ja powiedziałam mamie, że cię nie ma, nie ja! – zarzekała się Krystyna, również płacząc.

Byłem pewien, że kłamała, ale wiedziałem, że postąpiła tak z czystej troski i strachu o mnie. Przytuliłem ją więc i starałem się uspokoić.

Podszedłem do mamy i chciałem powiedzieć coś, co ją udobrucha. Wzięła mnie w ramiona i mocno przytuliła.

– Waldusiu, mój mały skarbie. Myślałam, że coś ci się stało – tłumaczyła, niezdarnie wycierając mi twarz zmiętą i przesiąkniętą łzami chusteczką.

I wtedy nagle pękłem. Wybuchnąłem płaczem. Płakałem z powodu przepełniającego mnie strachu, z powodu mojego miasta, zabitych, których

widziałem na ulicy i mojej ukochanej Azy. Mama trzymała mnie chwilę w ramionach i kołysała jak do snu przed kilkoma laty, aż zauważyła, że jestem cały posiniaczony. Bolało mnie całe ciało, a zwłaszcza kolana, które miałem poobijane od czołgania się wśród gruzów. Dłonie i ramiona również. Byłem cały podrapany. Mama zdezynfekowała rany alkoholem i to było najgorsze, bo oprócz piekącego bólu, musiałem wytrzymać też jej spojrzenie. Słuch odzyskałem całkowicie dopiero po kilku dniach.

Po chwili, gdy już doszedłem do siebie i uspokoilem się, zagadnąłem Krystynę.

– Widziałem Bolka i Ryszarda. Są cali i zdrowi – powiedziałem naturalnym głosem, tak jakby spacer pośród spadających bomb był najzwyczajszą rzeczą na świecie. Pożałowałem moich słów, kiedy zobaczyłem jej minę.

– Uciekłeś, aby zobaczyć się z kuzynami? – zadała mi tylko to jedno pytanie. Poczułem się jak głupiec. Z biegiem czasu zdałem sobie sprawę, że Krystyna jest bardzo podobna do taty. Związała i praktyczna.

Później wiele osób w schronie – zwłaszcza mężczyzn – wypytywało mnie o to, co się działo na zewnątrz. Z powagą opowiadałem im szczegółowo o wszystkim, co widziałem, a to czego nie widziałem, zmyśliłem. Podobało mi się, że traktowali mnie z szacunkiem, a w oczach wielu widziałem podziw.

Rozmowy były często przerywane syrenami i buczeniem nurkujących sztukasów zrzucających bomby. Za każdym razem wszyscy zamykaliśmy oczy, spodziewając się najgorszego. Szepty modlitw mieszały się z okrzykami paniki, kiedy dobiegał do nas odgłos wybuchającej bomby i charakterystyczny dźwięk samolotu nabierającego wysokości. Wtedy modlitwy zamieniały się w obelgi skierowane do Niemców. Powtarzane raz po raz zdrowski przeplatane przekleństwami przypominały mi litanie, które kiedyś słyszałem w kościele. Zapewne w innych miejscach w Warszawie działo się to samo. Wyobrażałem sobie całe miasto szepczące modlitwy, jakby było w drodze do czyśćca.

Czasami kuliłem się w rogu bunkra, wsłuchując się w ryk samolotów, wybuchy bomb, krzyki i modły. Próbowiałem wtedy myśleć o czymś innym. Samolot zobaczyłem z bliska po raz pierwszy cztery lata wcześniej w Nieborowie, kiedy byłem w pałacu hrabiów Radziwiłłów. Ciotka Flora pracowała w nim jako administratorka, chociaż mama mówiła, że jest gospodynią. Właściciele bardzo cenili moją ciotkę i pozwalali jej zapraszać rodzinę oraz korzystać ze wszystkich udogodnień pałacu. Pamiętam te kilka tygodni, które tam spędziłem, otoczony luksusami, dziełami sztuki, ogromnymi ogrodami i fontannami. Godzinami biegałem do upadłego po rozległych parkach należących do posiadłości. To właśnie tam po raz pierwszy zobaczyłem samolot. Grupa lotników Polskich Sił Powietrznych wylądowała na polach należących do Radziwiłłów. Gdy zobaczyłem, że lądują, biegiem ruszyłem w ich stronę. Nie mogłem przegapić okazji, by przyjrzeć się im z bliska. Zauważył mnie jeden z pilotów i uśmiechnął się do mnie przyjaźnie.

Patrzyłem na niego z uwielbieniem, a ten zapewne rozbawiony moim entuzjazmem, zaproponował mi spacer po niebie.

Znaleźć się w samolocie było marzeniem każdego chłopca, więc przystałem ochoczo na zaproszenie. Tych magicznych chwil nie zapomnę do końca swoich dni. Czułem się jak ptak. Byłem szczęśliwy i podniecony, a lot samolotem uznałem za najlepsze doświadczenie mojego życia. Gdy wylądowaliśmy, czekała już na nas mama. Na jej widok od razu domyśliłem się, co się święci i oczywiście się nie pomyliłem. Srogo zbesztła pilota, a ten, słuchając jej kazań, powoli tracił odwagę, którą emanował na pokładzie samolotu. Oczywiście najbardziej oberwało się mnie, ale wówczas nikt nie mógł odebrać mi tego szczęścia i ekscytacji, której byłem pełen. Pani Zofia zawsze była nieco nadopiekuńcza.

Dźwięk syren wyrwał mnie ze wspomnień i wróciłem myślami z powrotem do schronu przesiąkniętego strachem i zapachem potu.

W tamtych dniach wiele dowiedziałem się o samolotach, ponieważ mężczyźni ciągle rozmawiali o Sztukasach przenoszących bomby o wadze pół tony, o Heinklach – większych dwusilnikowcach, które zrzucały takie ilości bomb, że miało się wrażenie, jakby leciało stado ptaków. Myślałem, że samoloty atakują tylko wspomniane punkty strategiczne, ale po mojej ostatniej eskapadzie przekonałem się, że bomby mogą spaść gdziekolwiek, ponieważ piloci nie zawsze trafiali do celów. Żałowałem, że nie mogłem zobaczyć, jak je zrzucają, ale ważniejsze wtedy było ratowanie własnej skóry. Zainteresowanie mną wzrosło, gdy w rozmowie z dorosłymi wspomniałem o locie samolotem z polskimi pilotami. Nie spędzałem czasu z innymi dziećmi ze schronu; zawsze szukałem miejsca wśród starszych.

Nocami, gdy samoloty znikwały z warszawskiego nieba, pałeczkę przejmowała niemiecka artyleria rozmieszczona wokół miasta. Haubice wydawały inny dźwięk niż bomby. Gdy spadały, słychać było tylko świst. Żaden dźwięk nie ostrzegał przed uderzeniem. Na domiar złego doszły nas wieści, że Rosjanie podpisali pakt z Hitlerem, na mocy którego siedemnastego września przekroczyli granicę i zaatakowali Polskę. Zostaliśmy więc otoczeni. Ściany schronu drżały nieprzerwanie i po pewnym czasie zupełnie popękały, podobnie jak sam sufit, z kolei drzwi do bunkra się zacięły. Cała Warszawa rozpadała się na kawałki. Brudni i niedożywieni, prześladowani ciągłym wyciem syren i hukami bomb, każdego dnia przeżywaliśmy ten sam niekończący się koszmar.

Pewnego dnia syreny ucichły. Dowiedzieliśmy się, że zostały zniszczone. Przestało również nadawać Radio Warszawa. Co jakiś czas wojsko, przez głośniki zamontowane na pojazdach krążących po mieście, informowało mieszkańców o sytuacji – z każdym dniem coraz gorszej. Jednak znosiłem to wszystko ze względny spokojem, a nawet cieszyłem się, że wreszcie mama nie zmusza mnie do codziennej kąpieli. W tej ogromnej piwnicy nie było pryszniców. Do pewnego czasu myliśmy się w zimnej wodzie z kranu, jednak pewnego dnia woda przestała płynąć.

Za oświetlenie służyło kilka ciągle migających żarówek. Kiedy zapadała ciemność, zapalaliśmy świece, ale tylko wtedy, gdy było to konieczne. Powietrze, którym oddychaliśmy było zatechłe, zwłaszcza po tym, jak przestała działać wentylacja. Z każdym dniem coraz rzadziej słyhać było wiadomości z wojskowych głośników. Aż pewnego dnia nagle zapaliły się żarówki i radio ponownie zaczęło działać. Z odbiornika płynął w kółko ten sam komunikat: „kapitulacja została podpisana”, a następnie zaczęto zapowiadać wojskową defiladę w Alejach Ujazdowskich. Nie było słyhać wybuchów. Po tylu dniach nieustannego huku ta grobowa cisza wydawała nam się dziwna. Baliśmy się opuścić schron. Nie pamiętam, jak długo zwlekaliśmy z otwarciem drzwi, aby ukradkiem wyjrzeć na zewnątrz. Wyglądało na to, że ataki fatycznie ustały i że wreszcie zapanował spokój. Oprócz tego, że przeżyliśmy, nie było jednak żadnego innego powodu do świętowania. Nasz kraj dostał się w ręce wroga, a Warszawa wyglądała opłakanie. Największe wrażenie zrobił na mnie widok powalonych drzew. Stolica była miastem pełnym parków, a teraz wyglądała jakby umarła. Armia walczyła bohatersko i dała z siebie wszystko. Nawet wtedy, gdy zabrakło amunicji, polska kawaleria ścierała się z czołgami używając lanc. Cóż za bezsensowna rzeź! Przewaga sił niemieckich była miażdżąca i polskie wojsko ostatecznie musiało się poddać.

Jedynie wiadomości, które do nas docierały, to informacje z manipulowanego zapewne przez Niemców radia oraz plotki przekazywane z ust do ust. Jedna z nich mówiła, że marszałek Wojska Polskiego, Edward Rydz-Śmigły, po doznanej klęsce popełnił samobójstwo. Nie było pewne, czy tak też się stało – w każdym razie słuch po nim zaginął. Prezydent i wysocy rangą członkowie rządu znaleźli się poza granicami kraju już na początku inwazji. Z powodu nieobecności władz, kapitulację musiał podpisać prezydent Rady Miasta Warszawy. Mówiono również, że polskie lotnictwo schroniło się w Anglii, gdyż piloci uznali, że będą bardziej przydatni aliantom, niż tocząc z góry przegraną bitwę o Polskę.

Z radia wciąż płynęła wojskowa muzyka i zapowiadano raz po raz, że jeszcze dzisiaj o czwartej po południu Gestapo, Schutzstaffel i Wehrmacht przejdą w defiladzie Alejami Ujazdowskimi, pięciokilometrowym bulwarem, wzdłuż którego na całej długości przed bombardowaniem rosły drzewa. Teraz stało tam zaledwie kilka pni. Najeźdźcy szybko usunęli resztki powalonych drzew, by zrobić miejsce na zapowiadaną paradę. Kiedy ostatecznie opuściliśmy schron na Lipowej, życie w Polsce było już zupełnie inne. Niemcy przysposobili sobie całe miasto. Warszawa nie należała już do nas.

Gdy wracałem do domu, moją uwagę zwrócił dobiegający z oddali łoskot. Był to rytmiczny krok tysięcy żołnierzy maszerujących przy akompaniamencie wojskowej muzyki i po raz kolejny, myśląc o zapowiedzianej defiladzie, nie mogłem się powstrzymać, by zniknąć z oczu matce na jakiś czas. Chciałem pobiec w Aleje Ujazdowskie. Nie poprosiłem jej o pozwolenie, bo wiedziałem, że i tak by mi odmówiła, a nie mogłem za żadne skarby przegapić tego przedstawienia. Zniknąłem przy pierwszej nadarzającej się okazji i stanąłem w pierwszym rzędzie gapiów. Widownią parady byli głównie volksdeutsche — Niemcy lub potomkowie

Niemców mieszkający w Polsce. Oni jako pierwsi dołączyli do swoich rodaków, a wielu z nich później zaciągnęło się do Gestapo i innych sił bezpieczeństwa, które prześladowały Polaków. Przypatrywałem się, nie mogąc wyjść z podziwu, wojskowemu marszowi Gestapo, czarnym mundurom z wyhaftowanymi czaszkami na szyi i kepisom na głowach. Za nimi szli żołnierze Schutzstaffel, czyli siejacej postrach SS, w mundurach z podwójną runą na klapach kurtki, a na końcu maszerował Wehrmacht. Nawet teraz, po tylu latach, pamiętam jakie wrażenie zrobił na mnie widok tej armii, tysiący żołnierzy maszerujących odmierzoną co do milimetra krokiem. Moja głowa pełna była dźwięków orkiestry dętej z ich bębnami i trąbkami. Mundury, broń, hełmy – wszystko wyglądało nieskazitelnie i okazałe. Około piętnastu metrów ode mnie znajdowało się podium, na którym mężczyzna o niegroźnym wyglądzie z małym wąsem w stylu Chaplina podziwiał paradę. Żołnierze maszerujący „gęsim” krokiem w chwili, gdy przechodzili obok niego, prężyli się jeszcze bardziej, więc domyśliłem się, że był to ich przywódca – ten słynny Adolf Hitler, o którym tyle słyszałem w minionych miesiącach. Mijający go żołnierze odwracali głowę w jego kierunku i podnosili ramię. Wyglądali jak monolityczny blok. Za piechotą defilowały dywizje pancerne i artyleria. Chociaż zdawałem sobie wtedy sprawę, że właśnie obserwuję agresorów mojego kraju, nie wstydzę się dzisiaj przyznać, że po cichu podziwiałem tę armię. Przegranej wojny z tak potężnym wrogiem nie postrzegałem wówczas jako upokorzenie. Mam nadzieję, że moi rodacy wybaczą mi te przemyślenia, a mój młody wiek uznają za wystarczającą okoliczność łagodzącą.

Na koniec parady wojskowej przed Adolfem Hitlerem stanął duży oddział oficerów SS i Gestapo. Następnie wszyscy jednocześnie unieśli prawe ramię pod kątem czterdziestu pięciu stopni w tak dziwnym dla mnie pozdrowieniu. Widziałem je wtedy po raz pierwszy i od tej tego dnia miało mi towarzyszyć jeszcze przez długi czas. Wszyscy, trzymając ręce skierowane ku swojemu liderowi, wykrzyknęli jednogłośnie: Sieg Heil, Heil Hitler! Hitler odpowiedział na pozdrowienie lekkim skinieniem prawej ręki, a następnie rozpoczął przemówienie, z którego nie rozumiałem ani słowa. Wzdłuż alei zainstalowano głośniki, by jego głos było słychać prawie w całym mieście. Używał ostrego, twardego i często dramatycznego tonu. Robił krótkie przerwy, jakby czekał na reakcję na swoje słowa, gestykulował rękoma i całym ciałem. Od czasu do czasu groził palcem i wychylał się do przodu tak mocno, że chwilami myślałem, że spadnie z podium, jednak jego gesty musiały być dobrze wyćwiczone, bo nic takiego się nie stało. Zrozumiałem, że jego nieszkodliwy wygląd nie miał nic wspólnego z rzeczywistością. Przemówienie nie trwało długo, a gdy skończyło się, tłum uważnie słuchających Niemców kilkakrotnie wykrzyknął w podnieceniu: Sieg Heil! Sieg Heil! Heil Hitler! Wówczas Hitler pożegnał przybyłych, skierował się do czarnego samochodu i po chwili szybko odjechał. Wszyscy rozeszli się, a do mnie dotarło, że czeka mnie kolejna ciężka przeprawa z mamą.

W pobliżu domu zobaczyłem ciężarówki, z których rozdawano żywność. Obok stały kuchnie polowe używane przez wojsko na froncie. Żołnierze Wehrmachtu zapraszali mieszkańców, ale bez powodzenia. I chociaż spędziliśmy prawie miesiąc

bez niemal żadnego zaopatrzenia i większość z nas nie miała niczego do jedzenia, to ów niemiecki gest wydawał nam się wszystkim upokarzający. Niejeden warszawiak, kierowany dumą, przechodził obok z podniesioną głową, choć żołądek ścisnął mu się z głodu. Ja byłem jednak za młody i zbyt głodny, by przepuścić taką okazję. Nie zastanawiając się więc dwa razy, podszedłem do jednej z ciężarówek, gdzie uśmiechnięty żołnierz, jakby wdzięczny za moją gotowość, podał mi ogromny bochenek chleba. Zawsze byłem w czepku urodzony. Chleb pomoże mi udobruchać panią Zofię. Gdybym miał więcej czasu, zdobyłbym więcej jedzenia, ale musiałem jak najszybciej wracać, bo znając mamę, ta pewnie już odchodziła od zmysłów. Ruszyłem do domu, martwiąc się, jak zostanę przywitany.

Dom wyglądał jak po przejściu huraganu: potłuczone szkło, zakurzone meble i porozrzucane przedmioty. Mama, w chuście na głowie, stała pośrodku tego bałaganu z miotłą w ręku. Na podłodze widać jeszcze było ślady krwi Azy. Nie był to dobry moment, ale zwłoka tylko pogorszyłaby moją sytuację. Podszedłem więc do mamy i wręczyłem jej chleb na usprawiedliwienie mojego zniknięcia. Nie zadziało. Na nic zdały się wyjaśnienia, chleb i wszystko, co mówiłem. Matka besztła mnie jednocześnie klnąc na Niemców i wszystko, co miało z nimi jakikolwiek związek. Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, gdy przyznałem się, że uczestniczyłem w defiladzie.

– Waldek! Synu, ty nic nie rozumiesz? Zaatakowali nas, to nasi wrogowie. O mój Boże! Kogo ja wychowałam? – zaczęła płakać, łapiąc się za głowę rękami.

– Mamusiu, zmusili mnie, nie chciałem... Nie wiesz jacy są Niemcy... – skłamałem, próbując ją uspokoić.

– Nie wierzę, że cię zmusili. Zniknąłeś, jak tylko się odwróciłam, by zająć się twoją siostrą. Dlaczego nie bierzesz z niej przykładu? Zawsze robisz to, co chcesz!

– Ale zdobyłem chleb. Jestem głodny, podobnie jak Krystyna – powiedziałem, patrząc na moją siostrę, która zawsze w takich chwilach robiła posagową minę, jakby wcale nie chodziło o nią. Ale tego dnia, ku mojemu zaskoczeniu, może z powodu wilczego apetytu, a może z chęci pomocy, chwyciła bochenek chleba, ułamała kawałek i ugryzła. To zadziało na mamę jak środek uspokajający. Nie tknęła chleba i w milczeniu wróciła do sprzątanía. Po kilku minutach, nie przerywając pracy, zwróciła się do mnie:

– Waldek, od teraz nie spuszczę cię z oczu i nawet nie myśl o wyjściu z domu. Pomóż mi lepiej posprzątać rozbite szyby z okien.

Ukroiłem kawałek chleba i żując kęs, zacząłem usuwać resztki szkła tkwiące w okiennych ramach. Po chwili dotarła do mnie wyborna woń, wypełniła nozdrza i rozpałiła wszystkie zmysły – to był zapach gorącego jedzenia. Wyjrzałem przez okno pozbawione szyb i zobaczyłem, że obok domu Niemcy zainstalowali kuchnię polową. Głód znów wziął górę. Bez zastanowienia poszedłem do kuchni i desperacko chwyciłem największy rondel, jaki znalazłem, strząsnąłem z niego kurz i wymknąłem się szybko z domu, zanim mama zdążyła mnie powstrzymać.

Wybiegłem najszybciej jak potrafiłem i stanąłem w kolejce do prowizorycznej kuchni. Czekając na swoją kolej czułem, jak ślina wypełnia mi usta. Gdy w końcu stanąłem z pustym garnkiem przed żołnierzem, gestem poprosiłem go, aby napełnił go po brzegi. Tak szybko, na ile pozwalał mi ciężar naczynia, wróciłem do domu z cennym łupem. Garnek był ciężki, ale dałem radę, bo na szczęście byłem dość krzepkim chłopcem. Miałem nadzieję, że tym razem mama nic nie powie. I tak też się stało. Gdy wróciłem, siedziała przygnębiona i płakała. Siedząca obok niej moja siostra starała się ją naśladować. Przeszedłem obok nich z garnkiem pełnym zupy, ale nie powiedziały ani słowa. Tego wieczoru, w końcu, po tylu ciężkich dniach, mogliśmy wszyscy usiąść do stołu i zjeść wspólnie coś gorącego. Kiedy tata wrócił do domu, też zjadł zupę, nie pytając o nic. W końcu tak jak już mówiłem: był człowiekiem praktycznym i powściągliwym.

Rozdział 3

Warszawa wyglądała nienaturalnie odświętnie. Wszędzie porozstawiano głośniki, które zalewały miasto żwawymi niemieckimi melodiami. Muzyka nie była zbyt głośna, ale było ją słychać na każdym rogu. Odgórnie zabroniono posiadania radia w domu, więc kibel – jak pogardliwie nazywaliśmy głośniki ze względu na sączący się z nich chłap – był naszym jedynym źródłem informacji. Muzykę często przerywano wiadomościami o niemieckich zwycięstwach, przemówieniami i tyradami przywódców, a także informacjami o liczbie zabitych polskich partyzantów. Następnie odczytywali długą listę skazańców, przy każdym nazwisku podając najróżniejsze szczegóły dotyczące przestępstwa, którego dopuściła się dana osoba, jej pojmania i okoliczności egzekucji. Próbowali w ten sposób podważyć nasze morale. Gdy wreszcie kończyli ów ponury monolog, z powrotem rozbrzmiewały wesołe, wojskowe piosenki – Ramona, Tante Anna, Rosamunde – jakby chcieli powiedzieć nam: „Wszystko idzie jak należy, świętujcie swoją klęskę i zaakceptujcie naszą przewagę, jeśli nie chcecie sami skończyć na którejś z tych list”. Po niedługim czasie niemiecka muzyka płynąca z kibla brzmiała tak znajomo, że zacząłem mylić ją z naszymi polskimi piosenkami.

Chociaż życie w Polsce było dalekie od normalności, większość z nas, aby przetrwać, uczepiła się nadziei, że zachowa poprzedni styl życia bez większych zmian. Nasz kraj był doszczętnie zniszczony – miasta w gruzach, rząd na wygnaniu, armia rozbita, a na domiar złego na każdym kroku czaił się prześladowający, kontrolujący i wydający złowieszcze rozkazy wróg. Cóż nam jednak innego pozostało niż po prostu starać się żyć dalej? W pierwszych miesiącach zaszło tak wiele gwałtownych zmian, że upływ czasu wydawał się o wiele szybszy niż kiedykolwiek. Niedługo po kapitulacji ponownie otwarto ocalałe sklepy. Większość przedsiębiorstw wznowiła pracę. Wielu mężczyzn, w tym także mój tata, wróciło do roboty. Niemcy przejęli kontrolę nad wszystkim, chociaż struktury pozostały prawie niezmienione. Zarekwirowali samochód taty. My, Polacy, nie mogliśmy mieć ani samochodów, ani motocykli. Nasza waluta, złoty, nadal była w obiegu, ale zniknęło sporo dotychczasowych wygód.

Od początku okupacji najbardziej cierpieli Żydzi, których prześladowano bez powodu. Zmuszano ich do noszenia na rękawie opasek z gwiazdą Dawida. Nikogo nie piętnowano tak jak nich, nawet komunistów. Nie zmienia to jednak faktu, że wszyscy cierpieliśmy. Byliśmy stale i brutalnie karani w sytuacji choćby najmniejszego podejrzenia o sprzeciw lub krytykę metod okupantów. Wydawało się, że najeźdźcy wiedzieli o nas wszystko: znali nazwiska i adresy tych, którzy byli Żydami, mieli komunistyczne poglądy lub należeli do tej czy innej organizacji. Znali nawet rodzaj wykonywanego przez każdego Polaka zawodu i wcale bym się nie zdziwił, gdyby byli także w posiadaniu informacji o preferencjach seksualnych każdego z nas. To rezultat efektywnej pracy, którą Selbstschutz wykonało jeszcze przed inwazją.

Nadszedł rok 1940. W poprzednim roku skończyłem szkołę podstawową i rozpocząłem naukę w szkole średniej. Niemcy zamknęli Uniwersytet, ale otworzyli ponownie moje technikum. Życie toczyło się zwykłym rytmem i znów mogłem spotykać się z moimi przyjaciółmi, choć niektórzy z nich byli teraz volksdeutscheami.

Zaczęto racjonować żywność za pomocą systemu talonów, które wręczano każdej rodzinie, i które umożliwiały zakup żywności w sklepach po przystępnych cenach. Jeśli jednak chodzi o jedzenie, to my, Polacy, jesteśmy narodem dość wymagającym. I chociaż Niemcy twierdzili, że kartki pozwalały zdobyć ilość jedzenia wystarczającą dla potrzeb każdego obywatela, to ten, kto mógł, uzupełniał głodowe racje na czarnym rynku. W tym celu trzeba było jechać na Pragę, do dzielnicy Warszawy położonej na prawym brzegu Wisły. Żywność na czarnym rynku była dostępna tylko dla tych, którzy posiadali oszczędności lub otrzymywali wysoką pensję, jak to miało miejsce w przypadku taty. Niemcy wiedzieli o istnieniu czarnego rynku, ale tolerowali go. Również wielu volksdeutscheów zaopatrywało się na nim. Kupowali tam smalec, wieprzowinę, szynkę i wysyłali paczki do swoich krewnych w Niemczech. Tak samo postępowali niemieccy żołnierze, choć zakupy zwykli byli zlecać cywilom.

Dzięki nielegalnemu handlowi i umiejętnościom kucharskim mojej mamy, podczas okupacji na naszym stole nie brakowało niczego, nawet podczas świąt religijnych, takich jak Boże Narodzenie czy Wielkanoc. Udało nam się zjeść wówczas zwyczajowego śledzika – soloną rybę sprowadzaną z Morza Północnego. Była to prawdziwa rozkosz dla podniebienia. W Niemczech nazywano go Hering. Na Wielkanoc były również pisanki, które malowaliśmy na różne kolory i wymienialiśmy się nimi z rówieśnikami.

Nadal byłem harcerzem, ale bez munduru, bo Niemcy zakazali harcerstwu działalności. Nie byliśmy już chłopcami zajmującymi się organizowaniem obozowisk i robieniem dobrych uczynków. Większość z nas odpowiedziała na wezwanie ruchu oporu, któremu byliśmy potrzebni z powodu naszego wykształcenia. Z początku przystałem na wyzwanie bez większego entuzjazmu, podobnie jak wielu moich kolegów, ale nadużycia i niesprawiedliwości doznawane ze strony okupanta sprawiły, że z każdym miesiącem angażowałem się w to coraz bardziej. Byłem oburzony przemocą stosowaną wobec Polaków i pogardą, z jaką Niemcy traktowali

nasze zwyczaje i symbole narodowe. Pomniki bohaterów, królów oraz postaci sztuki i nauki zostały obalone ze swoich piedestałów i zniszczone albo przetopione na surowiec do produkcji broni. Podobny los spotkał dzwony kościelne. Te zdarzenia rozbudziły we mnie nieznanym mi wcześniej patriotyzm, który w miarę doznawanych upokorzeń stawał się coraz bardziej radykalny.

Stało się tak głównie pod wpływem jednego wydarzenia. Pewnego dnia szliśmy razem z mamą za dwoma niemieckimi żołnierzami. To był jeden z wielu patroli, które nieustannie przemierzały miasto. Byłem ciekaw, o czym rozmawiają. Nie rozumiałem niemieckiego, więc zapytałem mamę – która mówiła w tym języku, bo urodziła się na terenie okupowanym podczas Wielkiej Wojny przez Austriaków – o kilka słów, wypowiedzianych wcześniej przez maszerujących przed nami żołnierzy. Jeden z nich musiał mnie usłyszeć, bo raptownie odwrócił się i uderzył mnie tak mocno, że przewróciłem się na ziemię. Nie byłem na to przygotowany, a nawet gdybym był, też niewiele bym pewnie zdziałał. Mama po raz pierwszy przy takiej okazji nie odezwała się słowem. Czułem wstyd i upokorzenie. Żołnierze powiedzieli po niemiecku coś jeszcze, jednak tego już nie miałem ochoty zrozumieć. Następnie mężczyźni, śmiejąc się, ruszyli dalej. Od tego momentu przestałem ich tolerować. To wydarzenie otworzyło mi oczy na to, kim byli: najeźdźcami i ciemiężcami mojej ojczyzny. Stałem się jednym z najbardziej zajadłych wrogów nazistów. Rodzice oczywiście nic nie wiedzieli o moim zaangażowaniu. W przeciwnym razie zapewne sprzeciwiliby się temu, ponieważ sami mogliby znaleźć się przeze mnie w niemałych tarapatkach.

Dawne wypadki do lasu ze zdobywcami odznak przerodziły się w sesje szkoleniowe. Instruktor nauczył nas, jak składać i rozkładać różne rodzaje broni, również granaty, oraz jak używać detonatorów do materiałów wybuchowych. Spotkania odbywały się w domach rekrutów. Ze względów bezpieczeństwa każdy z nas wiedział tylko tyle, ile musiał, nic ponadto. W ten sposób, w razie wpadki, nie moglibyśmy wyjawić żadnych istotnych informacji. Z tego samego powodu nikt z nas nie używał prawdziwego imienia. W Polsce działały dwie grupy oporu: AL – Armia Ludowa, sympatyzująca z komunistami oraz AK – Armia Krajowa, przeciwna komunizmowi. Ja należałem do AK, a moim pseudonimem był Wacek – po zmarłym przed laty dziadku ze strony matki. Poza tymi potajemnymi zajęciami moje życie toczyło się pozornie normalnie. Spędzałem czas w domu, w szkole, z przyjaciółmi i na spotkaniach z wujkiem Krakusem oraz moimi kuzynami. Latem 1940 roku po zakończeniu szkoły pojechaliśmy na wakacje do Dąbrówki. Wspominam je jako jedno najlepszych w moim życiu. Pamiętam, jak chodziliśmy nad jezioro. Skończyłem wtedy trzynaście lat i tata dawał mi nieco więcej swobody.

W Polsce mieszkało wielu Żydów, ale dominowała religia katolicka. W każdą niedzielę, jak większość Polaków, chodziłem z rodziną na mszę. Po dniach spędzonych w schronie, modlitwę, a zwłaszcza litanię, kojarzyłem przede wszystkim z rozpaczą, którą przeżywałem podczas bombardowań. Niemcy szanowali religię katolicką. Mniej szczęścia mieli Żydzi, których synagogi zostały zamknięte. Na początku listopada 1940 roku wokół dzielnicy żydowskiej, która

później stała się znana jako getto warszawskie, zaczęto wznosić mur. Do jego budowy, na rozkaz Niemców, zostali zmuszeni sami Żydzi. Zaczęto przenosić ich do getta jeszcze przed ukończeniem prac. Otrzymywali zawiadomienie z dwudziestoczęterogodzinnym wyprzedzeniem, a po tym terminie ciężarówka przewoziła ich wraz ze zgromadzonym dobytkiem do przydzielonego mieszkania. Po jakimś czasie przesiedlenia odbywały się pieszo: Żydów, z całym ich majątkiem, gromadzono w jakimś punkcie miasta i prowadzono na piechotę do getta. Budowa muru i proces przesiedlenia były perfekcyjnie zsynchronizowane. W dniu zakończenia budowy ostatnia grupa pędzona ulicami Warszawy w smutnym i dramatycznym pochodzie, weszła do getta. Za nimi zatrzasnęła się brama. Dzielnica była całkowicie odizolowana od reszty Warszawy. Jedynym ogniwem łączącym ją ze światem zewnętrznym był tramwaj, którego tory przecinały getto, dzieląc je na dwie części. Był on jednak dobrze pilnowany przez żołnierzy niemieckich, którzy uniemożliwiali Żydom kontakt z pasażerami lub ucieczkę. Niektórzy podróżni ryzykowali mimo wszystko i wyrzucali przez okno tramwaju artykuły pierwszej potrzeby, takie jak żywność lub odzież, wykorzystując nieuwagę strażników. Było to bardzo niebezpieczne.

Widzieliśmy, jak nasi rodacy wchodzili bezsilni do getta. Każdy, kto próbowałby się temu sprzeciwić, zostałby natychmiast aresztowany i prawdopodobnie stracony. Gdy przypatrywałem się tym milczącym i zrezygnowanym ludziom, z trudem powstrzymywałem złość. Wściekłość towarzyszyła mi prawie codziennie. Widok ulicznych egzekucji przez rozstrzelanie lub powieszenie był na porządku dziennym. Strach na stałe zagościł na twarzach nas wszystkich, a poczucie niesprawiedliwości nie opuszczało nikogo ani na chwilę... Byliśmy i czuliśmy się inwigilowani. Wszędzie, o każdej porze, słychać było hałas niemieckich pojazdów, krzyki żołnierzy, ciosy, obelgi i strzały. Wobec wszystkich tych okropności zmuszano nas jednak do milczenia i bezwzględnego posłuszeństwa.

Tak wyglądała okupacja w Warszawie, ale przypuszczam, że podobnie działo się w innych miastach i krajach. Niemcy sprawowali kontrolę absolutną. „Dlaczego?” – pytałem sam siebie. „Kim oni są, żeby najeżdżać nasz kraj i mówić nam, co mamy robić?” Nie mogliśmy swobodnie poruszać się w nocy: od dziewiątej wieczorem obowiązywała godzina policyjna. To wszystko ogromnie mnie złościło, ale nie mogłem nic zrobić. Nikt nie mógł. Opór wobec Niemców oznaczał śmierć lub tortury. Gotowało się we mnie z oburzenia, gdy musieliśmy posłusznie opuszczać głowy i stosować się do zasad, które nam narzucano. Do tej pory zawsze czułem się względnie niezależny. Teraz czułem, jakbym się dusił. Gdy powstało getto, Polacy zdali sobie sprawę, że ta wojna nie jest taka sama jak inne. Niemcy uważali również za podludzi inne nacje, choć oczywiście to Żydzi cierpieli z ich ręki najbardziej.

Mój drogi przyjaciel Stefan... Ta przyjaźń ciągle żyje w mojej pamięci. To jedna z niewielu przyjemnych rzeczy, które pamiętam z tych niespokojnych czasów. Chodziliśmy razem do drugiej klasy technikum. Byliśmy tacy sami prawie we wszystkim – oprócz tego, że on nie był harcerzem. Podobała nam się nawet ta

sama dziewczyna, Oleńka, koleżanka z klasy, o twarzy anioła. Nie wiem, dlaczego tak bardzo ją lubiłem. Być może z powodu jej ujmującego słodkiego spojrzenia i szczerego uśmiechu. Wprost uwielbiałem ją, podobnie zresztą jak samego Stefana. Pewnego dnia jednak na chwilę zapomnieliśmy o łączącej nas przyjaźni i pobiliśmy się o nią. Po tej sprzeczce nie odzywaliśmy się do siebie przez kilka dni. Wkrótce Oleńka odeszła z technikum, co stało się pretekstem do zawieszenia broni. Rozpytywaliśmy o nią w szkole i dowiedzieliśmy się, że wraz z rodziną trafiła do getta. Była katoliczką, a powodem zamknięcia miało być jej żydowskie pochodzenie. Cierpiałem bardzo z powodu tego nieszczęścia. Getto było strasznym miejscem, ludzie umierali tam z głodu na ulicy lub byli mordowani bez powodu przez Niemców. Czułem, że muszę coś dla nich zrobić.

W getcie brakowało odzieży i żywności, a także broni, którą interesowało się wiele żydowskich grup oporu. Rozpoczęły się przesiedlenia do obozów koncentracyjnych i niektórzy podejrzewali, że celem Niemców jest całkowite unicestwienie Żydów. Dostęp do getta był bardzo ograniczony – ono samo było bardzo dobrze strzeżone. Ze względu na ścisłe kontrole nie można było także użyć linii tramwajowej. Na jednym z zebrzań AK zaczęliśmy rozważać użycie sieci kanalizacyjnej – labiryntu podziemnych kanałów, w których osoba nieznaną tras, łatwo mogła się zgubić. Sami jednak nie mieliśmy pojęcia, jak odnaleźć w nich właściwą drogę. Wtedy właśnie zdecydowałem się na pewne dość śmiałe posunięcie – podczas jednych odwiedzin u ojca w pracy, skorzystałem z chwili nieuwagi i wykradłem plany interesującej nas dzielnicy. Nawet jeśli tata zauważył kradzież, to nigdy o niej nie wspomniał. Dzięki zdobytym przeze mnie planom mogliśmy dobrze przestudiować sieć kanałów. Na tej podstawie sporządziliśmy sobie trasę. Skradzione plany zwróciłem równie niepostrzeżenie, jak je zabrałem.

Dostawy wykonywaliśmy w nocy. Wybrana trasa wiodła najszerszymi kolektorami, w których po obu stronach kanału znajdował się chodnik o szerokości około pół metra, co pozwalało nam pokonywać drogę prawie suchą stopą. Podczas deszczu lub gdy z jakiegoś innego powodu poziom wody podnosił się bardziej niż zwykle, wychodziliśmy upaprani czarną mazią od stóp do głów. Smród w środku przyprawiał nas o mdłości, a szurów było tyle, że momentami miałem wrażenie, że zdradzą nas ich piski. Nasz system działał bardzo dobrze, ale nadszedł dzień, w którym odkryli go żołnierze SS. Zaczęli obrzucać nas granatami z gazem musztardowym. Wielu z nas zginęło. Ja miałem szczęście – uratowałem się jedynie dzięki ucieczce. Biegłem z prędkością, której nigdy wcześniej i nigdy później nie udało mi się osiągnąć. Aby biec tak szybko, trzeba mieć za sobą chmurę żółtego gazu. Tak skończył się mój wkład w sprawę Żydów z getta warszawskiego.

Później dowiedziałem, że to, co zrobiliśmy, nie było bezcelowe. Getto było jedynym miejscem na świecie, w którym żydowscy więźniowie sprzeciwili się zbrojnie nazistom. Co prawda nie udało im się zachować życia, ale zginęli walcząc o wolność, a nie dusząc się w komorze gazowej w obozie koncentracyjnym. Część broni, dzięki której stało się to możliwe, została dostarczona właśnie warszawskimi kanałami. Obecnie w Warszawie znajduje się nawet pomnik ku czci tych, którzy

zginęli, stawiając opór hitlerowskiemu okupantowi: przedstawia mężczyznę wychodzącego z kanału z karabinem w dłoni.

Wszystko to zrobiłem dla Oleńki Moszkowskiej, ale niestety nigdy nie otrzymałem żadnej wiadomości ani o niej, ani o jej rodzinie. Może zostali wywiezieni do jednego z obozów koncentracyjnych, a może zginęli w getcie. Byłem naprawdę zakochany w Oleńce. To była moja pierwsza wyidealizowana miłość, jednak straciłem ją tak nagle, że nawet nie miałem sposobności, by choć raz ją ucałować. Pamiętam jej słodkie spojrzenie i nawet teraz boli mnie myśl o smutnym losie, który zapewne podzieliła. Ale życie toczyło się dalej, a ja pogodziłem się z tym, że już nigdy więcej jej nie zobaczę.

Do naszej klasy chodziło też kilku volksdeutschów. Traktowaliśmy ich zwyczajnie, a oni odwzajemniali się nam tym samym. Nie miałem nic przeciw nim. Podczas lekcji zapominałem nawet na chwilę o wojnie i okupacji – byłem wówczas tylko jednym z uczniów, tak samo jak oni. Od czasu do czasu któryś z volksdeutschów okazywał swoje niezadowolenie z sytuacji szeptem, ale samo mówienie nic nie zmieniało. Sami zresztą niewiele mogli zrobić. Wybór technikum uważałem za trafioną decyzję. Od zawsze miałem smykałkę do mechaniki, a jej znajomość miała mi się przydać również później.

Miałem czternaście lat i byłem dość wysoki – ponad metr siedemdziesiąt wzrostu. Wyglądałem bardzo poważnie jak na swój wiek. Poza uczestnictwem w AK moje życie toczyło się bez większych zmian. Pod koniec 1941 roku zajęliśmy się kolportowaniem ulotek popierających ruch oporu i rozpowszechnianiem wiadomości, do których większość mieszkańców nie miała dostępu, na przykład o postępach armii alianckiej. Wtedy Hitler dokonał już inwazji na Związek Radziecki i zerwał traktat ze Stalinem. Wiedzieliśmy, że naziści okupowali znaczną część Europy i docierały do nas wieści, że na froncie rosyjskim ponosili klęski, ale wiedza ta nie była nam wielką pociechą, bo złowrogie macki brutalnej okupacji niemieckiej okręcały się coraz ciasniej wokół polskiego społeczeństwa. Wielu Polaków pochodzenia niemieckiego zostało informatorami nazistów. Niektórzy robili to przez wgląd na więzy krwi, ale wielu po prostu do tego zmuszano, sięgając po groźby i szantaż.

Wojna stawała się dla Niemców coraz bardziej problematyczna, a wraz ze wzrostem ich niezadowolenia nasilało się okrucieństwo i brutalność stosowanych metod. Angażowałem się coraz bardziej w ruch AK, a szkolenia w lesie odbywały się jeszcze częściej. Co i raz angielskie samoloty zrzucały nocami partyzantom broń, której odbiorem zajmowali się moi starsi koledzy. Nigdy nie wyznaczono mnie do tego zadania, a wykonałbym je z wielką chęcią. Pewnego dnia partyzanci z AL usiłowali wysadzić jeden z mostów kolejowych, przez który miał przejeżdżać konwój z dostawą na front wschodni. Operacja jednak się nie powiodła. Część partyzantów zdążyła uciec, ścigana przez niemieckie łodzie, nurkując w głębokich wodach Wisły. Zamachy grup oporu nasilały się, a ich celem była nie tylko walka z wrogiem, ale również związanie jak największej liczby wojska, które w przeciwnym razie znalazłoby się na froncie.

Z każdym miesiącem angażowaliśmy się coraz bardziej w działania ruchu oporu, ale mimo to ja sam nigdy nie opuściłem szkoły. W domu nic nie wiedzieli o mojej działalności. Musiałem udawać i szukać wiarygodnych wymówek dla moich częstych eskapad.

Zawsze lubiłem muzykę i od małego uczyłem się gry na pianinie. Z początku lekcji udzielała mi mama, a potem nauczyciel. Moimi ulubionymi utworami nie były klasyczne kompozycje, lecz modne wtedy tematy. Umiejętności muzyczne dawały mi dużą popularność wśród dziewczyn, ale by zaimponować najlepszym partiom brakowało mi trochę doświadczenia. Na szczęście jednak dość szybko się uczyłem, a że byłem w czepku urodzony, poznałem Wandę, najwspanialszą dziewczynę w moim życiu.

Wanda wyszła za obiboka, który kradł węgiel. Miała zaledwie dwadzieścia lat, ale z mojej perspektywy była już dojrzałą kobietą. Miała długie blond włosy sięgające aż do ramion, niebieskie oczy i malutki nos, który nadawał jej twarzy dziecinnego wyrazu. Dla mnie była tylko córką pani z zieleniaka – jak wszyscy o niej mówili. Wcześniej nie zwracałem na nią uwagi. Wiedzieliśmy, że jej mąż kradł węgiel z wagonów, które transportowały zaopatrzenie dla Niemców. Ten łajdak nie zasługiwał na jakąkolwiek uwagę, ale było nie do pomyślenia, aby prawdziwy Polak doniósł Niemcom na swojego rodaka. Wszyscy więc milczeli. Byłem jednak ciekaw, czy kiedyś go złapią. Czasami mama wysyłała mnie do zieleniaka po jakieś sprawunki, co wydawało mi się poniżej mojej godności i wiele razy próbowałem jej to wytłumaczyć, lecz ona była nieugięta. Wolałem, żeby Krystyna robiła zakupy. Za każdym razem jednak, kiedy mama ją o to prosiła, moja siostra miała do odrobienia lekcje lub uczyła się akurat do jakiegoś egzaminu. Znałem dobrze te jej sztuczki, ale mama zawsze wierzyła jej na słowo. Pewnego razu, gdy czekałem w kolejce, rzuciło mi się w oczy leżące na ladzie czasopismo motoryzacyjne. Z nudów zacząłem je przeglądać i nagle spostrzegłem, że Wanda przygląda mi się uporczywie. Poczujęm się nieco zakłopotany. Pomyślałem, że patrzy na gazetę i powiedziałem do niej coś związanego z samochodami.

– Waldek, lubię czytać, ale nie czasopisma tego typu, wolę romantyczne historie – powiedziała Wanda, nadal przyglądając mi się w dziwny sposób. Teraz wiem, że mnie kokietowała. Wtedy jednak była to ostatnia rzecz, która mogła przyjąć mi do głowy.

– Mój ojciec ma sporo powieści. Jeśli chcesz to odwiedź nas, mam bibliotekę pełną książek różnego gatunku – odpowiedziałem, choć wcale nie spodziewałem się, że przystanie na tę propozycję.

– Dzisiaj nie mogę, bo jestem sama w sklepie. Jutro jest sobota i będzie moja matka, wtedy będę mogła wyjść na chwilę.

– Świetnie! Jutro wszyscy wyjeżdżają do Dąbrówki – powiedziałem. Pomyślałem, że pani Zofii może się nie spodobać, że chodzę po domu z Wandą i wybieram książki.

I tak to się zaczęło. Między jedną książką a drugą wkroczyłem w krainę miłości prowadzony przez namiętą córkę zieleniarki. Każdy wyjazd moich rodziców na wieś wykorzystywaliśmy, aby razem spędzić chwile pełne uniesień. Jednocześnie mocno się pilnowaliśmy, aby nie dowiedział się o nas ani mąż, ani matka Wandy. W tamtym czasie po raz pierwszy poczułem się prawdziwym mężczyzną i zrozumiałem, że kobiety będą ważną częścią mojego życia. To właśnie Wanda była pierwszą kobietą, którą widziałem nagą i trudno mi opisać, co wtedy czułem. Przez cały tydzień nie mogłem skupić się w szkole i odliczałem godziny zbliżające mnie do soboty. Koleżanki z klasy wydawały mi się banalne, a koledzy, również Stefan, dziecienni – jakby nie wiedzieli czym jest prawdziwe życie. Czułem się lepszy od nich, a przed oczami nieustannie miałem obraz nagiej Wandy. Ten widok wywoływał u mnie erekcję, z powodu której niejednym razem znalazłem się w kłopotliwej sytuacji. Jednak pamięć o Oleńce pozostała nietknięta. Oleńka oznaczała miłość czystą, nieosiągalną, której ani nie mogłem, ani nie odważyłbym się przyrównywać do historii z Wandą.

Z upływem czasu „choroba” zwana Wandą zaczęła powoli ustępować. Wreszcie zrozumiałem, że nie jest ona jedyną kobietą pod słońcem. Po tej przygodzie dużo łatwiej przychodziło mi podrywanie innych dziewcząt, które, co zresztą wolałem, z reguły były ode mnie starsze. Córka zieleniarki zajmowała coraz niższą pozycję wśród moich priorytetów, a jednym z nich stała się walka w AK – rzecz, o której nigdy nie powiedziałem ani Stefanowi, ani mojemu kuzynowi, Bolkowi, choć ten i tak dowiedział się o tym w dość niefortunnych okolicznościach.

Pewnego dnia Rysiek, mój dowódca w AK, rozkazał doręczyć parabellum człowiekowi, który miał czekać na mnie naprzeciwko Cyrku Braci Staniewskich. Schowałem pistolet do kieszeni płaszcza i udałem się na miejsce spotkania. Po drodze do celu spotkałem kuzyna Bolka, który w towarzystwie Urszuli, ślicznej Niemki, wracał do domu, a ponieważ szli w tym samym kierunku, ruszyliśmy razem, pochłonięci rozmową. Znałem Urszulę i podobała mi się bardzo – ja jej również. Doszliśmy do domu, w którym mieszkała dziewczyna i kiedy żegnałem się z kuzynem, zobaczyłem, że pod Cyrkiem Staniewskich zgromadzili się Niemcy, najwyraźniej szykując łapankę. Mimo protestów Bolka, postanowiłem wejść razem z nimi na górę. Urszula wpuściła nas do mieszkania i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że moja obecność ją cieszy, podczas gdy kuzynowi ewidentnie nie była ona na rękę.

Zdjęliśmy płaszcze i powiesiliśmy je na wieszaku w przedpokoju. W trójkę przeszliśmy do salonu, gdzie zasiadłem przy pianinie i zacząłem grać, jak podczas każdej wizyty u Urszuli. Jej rodzina lubiła słuchać mojej gry. Ojciec Urszuli, o ile był w domu, często śpiewał niemieckie piosenki przy moim akompaniamencie. Zagrałem Lilii Marlene i kilka innych modnych tang. Powoli zaczęła zbliżać się godzina policyjna. Nie mogłem zostawić pistoletu u Urszuli, bo jej ojciec należał do Gestapo. Nie mogłem również wyjść z nim na miasto, gdyż groziło nam zatrzymanie przez żołnierzy i dlatego, na przekór Bolkowi i zasadom panującym w mieście, przedłużyłem wizytę poza rozsądne granice. Miałem zamiar udawać, że

niepostrzeżenie zrobiło się późno i zmusić w ten sposób Urszulę do odprowadzenia nas w czasie godziny policyjnej do domu. Była volksdeutschem i mogła poruszać się po mieście o każdej porze, a my dzięki jej towarzystwu mieliśmy zapewnioną nietykalność.

Kiedy ojciec Urszuli wrócił do domu i wieształ swoje okrycie obok mojego płaszcza, ten, ku mojemu przerażeniu, spadł na podłogę. Ojciec podniósł go i stało się to, czego się obawiałem: zauważył, że mój płaszcz waży o wiele więcej, niż powinien. Zobaczyłem, jak wkłada rękę do kieszeni i wyciąga parabellum. Sparaliżowało mnie. Gdy wszedł do salonu, ledwie znalazłem siły, aby wstać i się z nim przywitać. Panował nad sobą. Trzymał pistolet w dłoni i spokojnym tonem rozkazał Urszuli, aby poszła do kuchni i pomogła matce. Położył broń na stole i w milczeniu przypatrywał się nam. Bolek zaniemówił i wbił wzrok w pistolet – miałem wrażenie, że za chwilę oczy wyjdą mu z orbit. Ja z kolei modliłem się, aby pod stopami rozstąpiła mi się ziemia i pochłonęła mnie w całości.

– Czyj jest ten pistolet? – zapytał, siadając za stołem. Wydawał mi się zbyt spokojny.

– Jest mój – odpowiedziałem chrząkając, bo niemal straciłem głos.

Przez chwilę przyglądał mi się zaciekawiony. Czuję, że brakuje mi powietrza.

– Chcesz nim zabijać Niemców? – dodał, wskazując na broń.

– Nie... Chciałem tylko nauczyć się, jak jej używać... – wydukałem, zdając sobie sprawę z niedorzeczności tej odpowiedzi. Nic lepszego jednak nie przyszło mi do głowy.

Ojciec Urszuli wstał. Był wysokim mężczyzną, a w czarnym, gestapowskim mundurze wydawał się ogromny. Myślałem, że to koniec. Mój i mojego kuzyna.

– Dam ci dobrą radę, Waldek: nie mieszaj się do wojny. Niezależnie od wszystkiego, nie wyjdiesz z niej bez szwanku. Nie da się uciec przed śledztwem. Wiesz, że cię cenię. Zapamiętaj to sobie.

Zrobił długą przerwę. Wydawało mi się, że trwało to całą wieczność.

– Nie widziałem żadnej broni – powiedział nagle i wyszedł z salonu, zostawiając nas samych.

Mój kuzyn nie odważył się odezwać. Nadal wpatrywał się w leżący na stole pistolet. Nie wdychał ani nie wydychał powietrza i byłem przekonany, że teraz to już na pewno oczy wypadną mu z orbit. Chciałem go uspokoić i położyłem mu dłoń na ramieniu, ale ją odtrącił.

– Ty nieszczęśniku! – wysyczał przez zęby. – A ja myślałem, że chodzi ci o Urszulę. Jak śmiałeś mnie w to mieszać?

– Nie miałem wyboru. Nie widziałeś ilu żołnierzy było na ulicy?

– Co teraz z nami będzie? Myślisz, że on zachowa milczenie?

– Nie wiem. Przykro mi, wybacz. Nie chciałem cię w to mieszać. Lepiej poprośmy Urszulę, żeby nas odprowadziła.

Gdy Urszula wróciła, starałem się zachować spokój, chociaż tak naprawdę byłem przerażony. Kiedy ją zobaczyłem, domyśliłem się jednak, że wie już o wszystkim. Miała poważną minę, ale nie była rozgniewana.

– Urszula, nie przypuszczałem, że coś takiego się stanie. Wybacz.

– W porządku, Waldek. Daj mi pistolet, schowam go w torebce. Nie mam zezwolenia na broń, ale wątpię, by mnie przeszukiwali – powiedziała ze zdumiewającym spokojem.

– Dziękuję – wymamrotałem, nie mogąc znaleźć innych słów. Poczulem podziw i szacunek do dziewczyny, a jej spokój zrobił na mnie duże wrażenie.

Urszula dotrzymała nam towarzystwa. Najpierw odprowadziliśmy Bolka, a następnie ruszyliśmy w stronę mojego domu. Miałem okazję porozmawiać z nią sam na sam. Mój kuzyn nadal był bardzo poruszony i nie przeszkadzało mu, że zostaliśmy we dwoje. Wydaje mi się, że w tamtej chwili w ogóle o tym nie myślał.

Moja mama nie była zbyt utalentowaną krawcową. Zawsze mówiła, że ma dwie lewe ręce do tego zajęcia. To ona przeszła pętelkę, na której wieszałem płaszcz. Po incydencie w domu Urszuli sam nauczyłem się naprawiać swoje ubranie.

Kiedy następnego dnia opowiedziałem Ryśkowi o tym, co się wydarzyło, skomentował to tak:

– Ojciec twojej przyjaciółki nie miał innego wyjścia. Gdyby na was doniósł, jego córka i on sam znaleźliby się w niebezpieczeństwie z powodu znajomości z buntownikami. Niemcy nie mają litości nawet dla swoich.

„Ale dlaczego nie odebrał mi broni?” – na to pytanie nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi.

Od tamtego dnia zacząłem spotykać się z Urszulą. Odwiedzałem ją w domu, a jej ojciec traktował mnie z taką samą sympatią jak wcześniej. Sprawiał wrażenie osoby zadowolonej z naszej relacji, a ja byłem przekonany, że to najwspanialsza dziewczyna na ziemi. Kochaliśmy się i mimo młodego wieku zacząłem myśleć o życiu z Urszulą, kiedy tylko zakończy się ta przeklęta wojna. Jednak moje plany przekreśliło pewne przerażające wydarzenie.